

Od autora: Kiedyś pisałem dużo listów. Korespondencyjni przyjaciele poznikali gdzieś jednak. Pisałem pamiętniki, lecz jakieś to puste tak do szuflady. W końcu zacząłem opowiadanie dla żony. Ona lubi prosty kryminał, sensację, thriller, więc miało być o zbrodni z miłosnymi wątkami. Trwa to już dwa lata i z krótkiego w zamyśle tworu, zrodziła się mała powieść. Pytanie tylko, czy to ma sens? Da się w ogóle czytać? Wszystkie wydarzenia, opisy miejsc, oraz postaci są autentyczne, zebrane z przestrzeni trzydziestu lat i zmiksowane w jedną fikcyjną opowieść. Poniżej trzy przypadkowe, wyrwane z kontekstu strony.

Patrzę na nią. Śpi. Głośny oddech, ciche pochrapywanie, westchnienia, kropelka śliny, która ukradkiem spłynęła na poduszkę... Kiedyś rozczulał mnie ten widok. Te wszystkie niedoskonałości jej urody, zapach, miękkość skóry, włosy rozrzucone w nocnym nieładzie, pierś falująca łagodnie w zgodzie z rytmem oddechu... Kiedyś uwielbiałem ją obserwować, czuć jej bliskość, zasypiać wtulonym w jej ciało. Kiedyś...

Teraz sterczę nad nią jak kolek, wpatrując się w jej śniącą twarz. Nawet w tej chwili wygląda, jak gdyby chciała zarzucić mi całe zło świata. Czy coś zostało z naszego małżeństwa? Tak! Żal i nieme oskarżenia. O co i po co? Sam już nie wiem. Nie wiem kiedy w nasze życie wkradł się błąd, kiedy wirus wzajemnego niezrozumienia rozpiździł w pył nasze szczęście, wspólne plany i marzenia. Przyklękam obok łóżka. Odkładam powoli wielki kuchenny nóż na podłogę. Ważę w dłoni metalowy tłuczek do rozbijania mięsa. Zamykam oczy, próbując powstrzymać płacz.

Miałem kiedyś psa, czarną jak smoła sukę. Miało z niej wyrosnąć wielkie czarne psisko – wyrosło niewiele za kolano. Jedno ucho sterczące, drugie zwisające, kilka białych włosów na piersi i nieokiełznane zamiłowanie do ścigania samochodów. Pamiętam niedzielny wieczór, którego znalazłem ją pod drzwiami. To ciche, pełne bólu popiskiwanie, cierpiące spojrzenie, w którym dostrzec można było bezgraniczną ufność i prośbę o pomoc, te błyszczące bielą i czerwienią kości pogruhotanej miednicy i łap, które przebiwszy skórę wyzierały ohydnie z pomiędzy skołtunionej i upačkanej krwią i błotem sierści. Do dziś zastanawiam się, jakim cudem zdołała doczołgać się pod drzwi. Wykopałem wielki dół w ogrodzie. Ułożyłem ją na taczce i zawiozłem nad dziurę w ziemi, która miała posłużyć za grób. Plan był prosty. Ogłuszyć i przeciąć tętnicę szyjną. Dużo czasu mi to zajęło. Minuty płynęły powoli... Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści... Nie wiem ile... Każda z nich była morzem cierpienia żywej istoty, strasznego bólu, który niemalże sam czułem. Za każdym razem, gdy unosiłem pałkę gotów zadać cios, suka zadzierała łeb i spoglądała mi w oczy, a w jej brązowych ślepiach widziałem błaganie o litość. O co chciała prosić? O szybki koniec? Prawo do życia? Nie mogła powiedzieć. Była tylko psem. Uderzyłem mocno w momencie, kiedy po raz wtóry chciała unieść głowę. Olbrzymi cios rozmiądzzył jej pysk nie pozbawiając przytomności! Straszliwy zgrzyt i skowyt, jęzor przebity ocalałym kłem. Uderzyłem drugi raz, trzeci, piąty, na osłep, raz za razem. Zdziwiająco z jaką łatwością zwykły nóż do krojenia chleba przebił się przez warstwę sierści i grubą skórę. Buchnęła krew. Nie czekałem aż się wykrwawi. Zepchnąłem ją do dołu i szybko zakopałem. Cicha noc, ciemna noc – dobranoc psia przyjaciółko. Dziś postąpiłbym podobnie, może tylko szybciej. Czasem jednak, wspominając to zdarzenie, zastanawiam się o co prosiły te brązowe, psie oczy, o śmierć czy życie? Nie wiem. Nie mogła powiedzieć, była tylko psem.

Tłuczek wypada mi z dłoni. Podnoszę wzrok. Angelika gapi się na mnie pytająco. Nic nie mówi. Ja też nie. Pewnie nawet nie zauważyła złowrogich narzędzi leżących na wykładzinie. Beczę. Pyta w końcu co robię. Nie odpowiadam. Co mam powiedzieć? Wycieram łzy i smarki rękawem, zbieram się z podłogi i

wychodzę z pokoju zamykając ostrożnie drzwi. Pakuję najpotrzebniejsze rzeczy, upychając je do dużego turystycznego plecaka, trochę gotówki ukrytej w schowku biurka, telefon, dokumenty. Musi słyszeć krzątanie, ale nie wychodzi z łóżka. Po kilku minutach jestem już na zewnątrz. Rześkie powietrze majowej nocy otrzeźwia mnie trochę. Spoglądam w okna. Żadne światło się nie zapaliło. Mogłaś coś powiedzieć. Nie jesteś przecież psem, przecież wciąż cię kocham. Cicha noc, ciemna noc – dobranoc Angeliko.

Tego dnia budzę się później niż zwykle, a raczej budzi mnie przerażający krzyk, czy raczej skrzek, ni to zwierzęcia, ni człowieka. Sen? Ostatni płacz dławionego, przez wałęsającego się psa, zająca? Wypełzam z namiotu nasłuchując. Nakładam buty. Niepokojące dźwięki tłumione są przez gęstą kotarę z liści i gałęzi, ale nie mam wątpliwości. Przez chwilę zastanawiam się, czy pozostać w ukryciu, ale ciekawość bierze górę. Kogo лихо nosi o piątej nad ranem po lesie? Zakradam się ostrożnie na skraj leśnego duktu, okrążając z prawej strony cizbę młodej świerczyny, która łaknąc odrobiny słońca, szczelnie porosła obrzeża wąskiej drogi.

On trzyma ją prawą ręką za włosy, prowadząc jak zwierzę na smyczy, pochyloną, z głową na wysokości swojego pasa. Idzie dość szybko nie zważając na jęki bólu, czy strachu. Dziewczynie płaczą się nogi, potyka się i upada co chwilę. Okłada jej głowę otwartą dłonią, za każdym razem, kiedy kolejne potknięcie spowalnia jego marsz. Cofam się pod osłonę z świerkowych gałęzi, gorączkowo walcząc z chęcią ucieczki. Nie bardzo wiem co robić, w sumie nic nie zamierzam, postanawiam obserwować sytuację z daleka i ewentualnie zadzwonić na numer alarmowy. Kiedy ostrożnie zerkam na ścieżkę, ona akurat zbiera się z ziemi tuż przede mną i na jedną krótką chwilę nasze spojrzenia krzyżują się. Gdyby krzyknęła cymychną bym pewnie nie odwracając się za siebie, ale szybko odwróciła wzrok, jak gdyby moja obecność była bolesną obelgą. Krótka chwila, ale i tak, obok fizycznego cierpienia i zwierzęcego strachu dostrzegam w niej bezbrzeżny smutek, żal i... rezygnację. Wychodzę z ukrycia na drogę. Idę w ich stronę, prawie biegnę. Usłyszał mnie, kiedy byłem o krok. Zaskoczenie! Rozmiałdżam mu nos nim zdąży zorientować w sytuacji. Cichy zgrzyt pękających chrząstek i kości, zdaje się rozlegać echem, choć tak naprawdę nie wiem, czy coś usłyszałem, czy tylko wyczułem. Pochyla się, odruchowo zakrywając twarz dłońmi. Kopię go z całych sił w głowę. Kopię drugi raz, kiedy stara się podnieść z kolan. Upada charcząc i klnąc. Czarna krew zalewa mu usta i brodę. Klękam mu na kręgosłupie, tuż pod łopatkami, uderzając pięścią w potylicę za każdym razem, gdy próbuje coś powiedzieć.

Ona stoi bez ruchu, jak posąg. Nawet nie porusza powiekami. Krzyczę do niej żeby mi pomogła. Nic! Stoi i się gapi. Wrzeszczę znowu. Ocknęła się w końcu. Krępiemy mu ręce na plecach jego własnym paskiem, wciągamy pomiędzy drzewa. Ściągamy mu buty i spodnie, którymi związuje nogi. Biegnę do swojego obozowiska. Zbieram wszystko pośpiesznie. Kiedy wracam ona stoi oparta o pień z wyrazem niepewności na twarzy. Ja jednak wiem co robić. Posprzątać i uciekać. Jak najszybciej.

Jego przywiązujemy, trochę solidniej do drzewa. Za pomocą noża zrywam z niego wszystkie ubrania, zostawiając tylko skarpetki. Naga kobieta może wyglądać lubieżnie, pociągająco, niewinnie, radośnie, pięknie, męczczyzna natomiast zawsze wygląda żałośnie, albo komicznie, w zależności od tego, czy jego

penis zwisa, czy niezdarnie sterczy. On prezentuje się gorzej niż żałośnie, nagi i obity. Nawet nie próbuje nic mówić. Zerka tylko z pode łba z nienawiścią. Zabieram mu portfel z pieniędzmi i dokumentami. Podpalam zaparkowany dwieście metrów dalej samochód. Pożar i kłęby dymu pewnie kogoś zwabia, ale za nim to się stanie, nim policja wyjaśni sytuację będę już daleko.

Ona stoi pośrodku drogi pomiędzy mną i płonącym autem a swym niedoszłym oprawcą. Podchodzę do niej, pytam, czy ma dokąd pójść. Nic nie odpowiada. Mówię, że wędruję na południe i że może iść ze mną. Chwytam ją za dłoń i pociągamy za sobą. Wyrzywa się, ale rusza za mną. Dopiero teraz dostrzegam jak bardzo drżą mi ręce. Skręcamy między drzewa.

Pamiętna impreza. Niby nic, zwyczajna domówka rozwydrzonych nastolatków. Często na takich bywał, choć wcale ich nie lubił. Wymagała tego jedynaka swoista etykieta panująca w tym pełnym przemocy, seksu i alkoholu świątku młodych ludzi. Na szacunek trzeba było sobie zapracować, trzeba bywać, ale nie wszędzie i nie z każdym, trzeba pić, lecz nie można paść, trzeba obić ryj a samemu nie okazać słabości. Jego duma nie zniosłaby upodlenia w jakim funkcjonowały rzesze jego rówieśników. Od zawsze czuł się odmieńcem. Wielu jemu podobnych odsuwa się gdzieś na skraj życia społecznego we wszelakich jego aspektach, wiodąc z reguły spokojne i normalne życie, maskując rozdzierające ich umysły poczucie alienacji, poświęcając się pracy, jakimś pasjom, czy udając spełnienie w instytucji małżeństwa i rodziny. On jednak znalazł zupełnie inny sposób na radzenie sobie z poczuciem braku emocjonalnej więzi z ludźmi. Nie negował go, był wręcz szczęśliwy z powodu dojmującej jego świadomości. Oto patrzy na te hordy bydła, świń, osłów i co pośledniejszej gadziny. Nie, nie pasterz. On! Drapieżnik doskonały, stworzony po to by korzystać z tej nieprzebranej masy mięsa. Kiedyś przyjdzie jego czas, Póki co jest jeszcze zbyt mały, dopiero rośnie i dojrzewa, musi więc bywać, stwarzać pozory, zyskiwać sojuszników i cierpliwie czekać na swój czas.

I stało się. Popijawa chyliła się ku końcowi. Wyszedł na balkon, by odetchnąć od smrodu papierosowego dymu, wódki i potu. Chłodne, nocne powietrze orzeźwiało. Wychylił się przez balustradę, starając przewyciężyć irracjonalny lęk, jaki budzi w człowieku wysokość i przestrzeń. Właśnie w tym momencie, właśnie w tym, jakiś pijany skurwiel, próbując dłonią zatrzymać wymioty, wtacza się z impetem na ciasny balkonik, potyka o próg i upadając podcina Świętemu nogi. Ten na chwilę zawisa na balustradzie w chwilowej równowadze. Zbyt szybko starający pozbierać się pijaczyna, zahacza o uniesione nogi Świętego. Nim gruchnął o ziemię, Święty zdążył wyszeptać tylko dwa słowa: „ O kurwa ”.

Przeżył! Trzecie piętro i twarde klepisko zaniedbanego trawnika udeptywane od dziesięcioleci przez kolejne pokolenia rozwrzeszczanych dzieciaków. Nie pamiętał upadku, nieudolnych prób restytucji w wykonaniu, któregoś z mniej pijanych uczestników balangi, ani drogi do szpitala. Obudził się w, prze-

rażającym bielą i charakterystycznym zapachem, szpitalnym łóżku. Taki koniec. Żalony finał. Pierwsze co poczuł po odzyskaniu przytomności to przemożny strach, paraliżująca panika. Właśnie wtedy po raz pierwszy w życiu naprawdę się bał a najgorszą udręką była świadomość źródła tego lęku. Była nim bezsilność. Myliłby się ten, kto sądziłby, że ta osobista tragedia zmieni cokolwiek w tej egocentrycznej i samolubnej osobowości. Po pięciu miesiącach niekończących się pielgrzymek jakie zapewnili mu, zamożni przecież, rodzice, po dziesiątkach szpitali i klinik, nadal pozostawał tym samym gardzącym wszystkimi odmieńcem. Kiedy po tych nieszczęsnych pięciu miesiącach w serca jego i jemu przychylnych wstąpił duch nadziei, kiedy lekarze orzekli, iż jest szansa, przynajmniej na częściowy powrót do zdrowia, w Świętego wstąpił nowy duch. Wtedy też pojawiła się ona. Anna. Wolontariuszka.

Anna! Jakaż młoda, jakaż naiwna! Świętego po wypadku opuścili prawie wszyscy. Z tłumów otaczających go zawsze kumpli, kolegów, przyjaciół nie pozostał prawie nikt. O tych wszystkich licznych dziewczętach nie warto nawet wspominać. Nigdy nie odwiedziła go żadna. Tylko ta przekłeta Anna. Przyczepiła się. Przychodziła codziennie. Matka Teresa od siedmiu boleści gotowa na każde skinienie przynieść kaczkę i podtrzeć dupę. Nienawidził jej za to poświęcenie w imię dziwnych, niezrozumiałych dla niego, zasad. Z upływem dni narodziło się jednak pomiędzy nimi, jakieś osobliwe, trudne do zdefiniowania, uczucie, jakaś dziwna więź.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Jakarka, dodano 12.08.2018 18:00

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.